

BESTSELLEROWA AUTORKA WALL STREET JOURNAL

NICOLE SNOW

Wyzwanie
PACHNĄCE
KAWĄ

GARNITURY SEATTLE #2



Tytuł oryginału: One Bossy Dare (Bossy Seattle Suits #2)

Tłumaczenie: Olgierd Maj

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą
Shutterstock Images LLC.

ISBN: 978-83-289-1037-9

Copyright © 2022. ONE BOSSY DARE by Nicole Snow
The moral rights of the author have been asserted.

Translation copyright © 2025 Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

editio.pl/user/opinie/wyzgs2

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: *editio@editio.pl*

WWW: *editio.pl* (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

I.
ZAMKNIJ SIĘ, DO MAŁEJ CZARNEJ!
(ELIZA)



Niektórzy ludzie wyobrażają sobie, że ich życie ma ścieżkę dźwiękową.

W tle lecą piosenki, które podkreślają, ilustrują i akcentują każde ważne wydarzenie lub dramę w ich życiu.

Ze mną jest jednak inaczej. Moje życie zawsze ciągnęło za sobą *zapach*, niczym woń perfum i nie zamieniłabym tego na nic innego.

Nigdy nie zabieram się do pracy, nim nie zanurzę się w niebiańskim zapachu kawy.

– Dziękuję, że wpuściłeś mnie wcześniej, Wayne. Łatwiej mi się skupić przed oficjalnym otwarciem. – Odgarniam gruby kosmyk ciemnych włosów z oczu.

– Nie ma sprawy, Elizo, wiesz, że uwielbiam dobre towarzystwo. – Wayne przesuwa po ladzie parujący kubek z najnowszą kawą Wired Cup, bierze do ręki ściereczkę i czyści i tak lśniący ekspres.

To znajoma, przyjemna rutyna, którą obserwowałam setki razy.

Unoszę kubek do ust i powoli biorę łyk. Nie chodzi tu tylko o gonienie za kofeinowym kopem. Odkąd po raz pierwszy napiłam się kawy robionej przez babcię na kuchence, to mój poranny rytuał na przebudzenie.

– Ciemno palone. – Biorę kolejny niewielki łyk, mlaszcząc. – Z nutą kakao?

– Blisko. Sumatrzeńska – wyjaśnia, drapiąc się po gęstej brodzie.

– Podgrzewana w osiemdziesięciu stopniach?

Spogląda na mnie pogardliwie. *Oczywiście, paniusiu, masz mnie za jakiegoś barbarzyńcę?* Nie musi nawet nic mówić i tak mam wrażenie, że czytam mu to w myślach.

Jeśli chodzi o kawę, to swój pozna swego.

Mrużę oczy, spoglądając na niego.

– Och, pytasz poważnie? Tak, wszystkie nasze napoje z tej kategorii podgrzewane są w osiemdziesięciu stopniach, polityka firmy.

– Tak myślałam. Ta jest po prostu... lepsza niż zwykle. Da się wyczuć odrębne nuty smakowe. Jest dość przyzwoita... – przerywam i wzruszam ramionami. – To znaczy jak na sieciówkę.

Wayne odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem.

– Snobka. Wiedziałem, że chcę cię mieć przy boku w razie czego.

Uśmiecham się.

– Wcale nie jestem snobką. Wiesz, że jestem otwarta. Dobre kawy są niczym odcisk palca: mają swoją historię, miejsce, wspomnienia. Nigdy nie wiesz, gdzie będziesz do czasu następnego kubka. To magia.

– Jasny gwint, nie stawiaj mnie na jakimś piedestale. Nie jestem żadnym czarodziejem, po prostu zarabiam na życie. – Zaczyna ustawiać w porządku syropy smakowe na barze z tyłu.

Gdy znowu na mnie spogląda, krzywi się.

– Zupełnie jakby wieczorna zmiana nic nie robiła – mamrocze. – Jeśli chcesz poczuć magię, to nie znajdziesz jej w tej dziurze. Może spróbuj w Sweeter Grind. Mają niezłą kawę i słyszałem, że za te ich wielkie cynamonowe bułki można by zabić.

Unoszę brwi.

– Stary, nie powinieneś polecać konkurencji.

– Nie płacą mi dostatecznie dużo, żebym tego nie robił. Ale słuchaj, nie mogę dzisiaj długo gadać, wkrótce wbija tu szefostwo. Mogę się dorobić drugiej dziury w dupie, jeśli nie doprowadzę tego miejsca do porządku. Wieczorna zmiana *zawsze* stawia nas w złym świetle.

Kiwam uprzejmie głową i pociągam kolejny łyk zupełnie przyzwoitej kawy.

Rozumiem.

Wired Cup jest na rynku od dziesięcioleci i zawsze można liczyć na to, że dostanie się tu dobrą, niewymyślną, przewidywalną kawę, bez żadnych hipsterskich udziwnień. Nie bez powodu ma mocną pozycję drugiej najsilniejszej sieciowej kawiarni w Seattle.

Również ludzie są tu tacy, jak ta kawa.

Taki na przykład Wayne. Jest dobrym baristą – zawsze pamięta, co zamawiam, i pozwala mi tu w spokoju siedzieć, myśleć i eksperymentować, ale traktuje swoją pracę poważnie. Jest niczym zaprawiony w bojach żołnierz, niezwracający uwagi na codzienny trud.

Lepiej zostawić go w spokoju. Chwytam jedną ręką gorący kubek, a drugą moją torebkę i idę do stolika pod ścianą, gdzie nie będę przeszkadzać.

Torebka zwisa mi w zgięciu łokcia. Jest tak wielka, że mogłaby mieć własny kod pocztowy, i przy każdym kroku obija mi się o biodro. Jak tylko siadam, pozwalam jej zlecieć na podłogę i wyciągam z niej notes i długopis oraz niewielki słoik zawierający samo dobro.

Wiem.

Nie powinno się przynosić własnych napojów w takie miejsce jak to – nawet jeśli jest to napój, który sama przygotowałam.

Dobrze, że Wayne'owi to nie przeszkadza.

A Wired Cup jest sieciówką, co sprawia, że moje sumienie milczy.

Dyskretnie odkręcam słoik zawierający moją najnowszą kawową mieszanekę i biorę długi, pełen namaszczenia łyk ciemnego, mocnego płynu.

Witamy w państwie smaku.

Populacja: ja.

Jestem naprawdę dumna z mojej najnowszej, parzonej na ogniu kawy. Smakuje jedwabście i jest sto razy mocniejsza niż to, co ma w ofercie Wired Cup. Jest dymna, intensywna i wyrazista, że aż palce stóp podwijają mi się w butach.

Boże.

Naprawdę albo jestem zanadto uzależniona od zabawy w kawowego alchemika, albo bardzo potrzebuję seksu.

Znowu zerkam na kawę z Wired Cup. Ich nowy smak jest naprawdę niezły... jak na sieciówkę. Ale i tak jest w nim coś zbyt banalnego.

Wyciągam butelkę z wodą, żeby oczyścić podniebienie, i znowu pociągam łyk napoju z papierowego kubeczka.

Tak, czuję kakao, delikatne niczym szept.

To główna różnica między ich nowym smakiem a tym, co zazwyczaj serwują. Kakao w ciemno palonej kawie jest przyjemne i jedwabiste, napój przypomina nieco lżejszy smak mokki. Ale możecie mi wierzyć, że przeciętny człowiek potrzebowałby co najmniej dwóch kubków, żeby przetrwać poranek, a ja jestem pewna, że w moim przypadku byłyby to cztery.

Podsuwa mi to jednak pewien pomysł...

Kawa z piankami pieczonymi na ognisku – s'mores.

Gdybym połączyła moje najnowsze dzieło z odpowiednią słodyczą, to mogłoby być to.

Od miesiący pracowałam nad mieszanką kojarzącą się z biwakiem i ogniskiem – a ściślej odkąd facet w obozowisku dla bezdomnych poczęstował mnie oryginalną wersją. Nadaje to ziarnom unikalnego kopa, którego żadna sieciówka w stylu Wired Cup nie byłaby w stanie odtworzyć, nawet gdyby naszła ich chęć na eksperymenty.

A jeśli to właśnie odrobina kakao jest tym składnikiem, którego brakuje mi do wywołania kawowego orgazmu?

Uśmiecham się. Kilka ziaren kakao dodanych do mieszanki plus karmelizowany cukier i wanilia. Do tego ciasteczko z belgijskiej ciastkarni zamiast pełnoziarnistego krakersa.

Do diabła, tak.

Moja muza ma dzisiaj świetny dzień. Nawet jeśli ta kawa nie wypali – a zgódźmy się: niektóre moje mikstury są naprawdę odjechane – to nie będzie trudno znaleźć w tym mieście chętnych degustatorów, jeśli dołączę do niej belgijskie ciasteczko.

Biorę potężny łyk kawy ze słoika, starając się nie jęknąć głośno.

Jakie to pyszne!

Smak kojarzy się z wakacyjną wycieczką pod namiot i tradycyjną kawą, przyrządzoną przez seksownych drwali we flanelowych koszulach. Gdy uda mi się uzyskać smak s'mores, będzie to naprawdę doskonałe połączenie.

Muszę tylko wymyślić nazwę.

S'mor'ofee?

Nie... Popracuję nad tym jeszcze.

Ale mamy letni, spokojny poranek.

Nie gonią mnie żadne terminy, tak więc kofeinowy kop nie jest mi aż tak bardzo potrzebny, a kawa z Wired Cup nadal jest ciepła. Podchodzę do kontuaru, dolewam sobie śmietanki, wsypuję cukier i siadam, żeby delektować się ciepłym napojem z kilkoma dodatkami, które zmieniają jego smak.

Nie jest może tak dobry, jak biwakowa kawa Elizy Angelo, ale jest naprawdę przyzwoity.

Zaczynam robić notatki w moim wysłużonym, oprawionym w skórę notesie, zawierającym moje kawowe przepisy z trzech lat. Pewnego dnia moje arcydzieła pokażą się publiczności szerszej niż tylko ja i mała grupka moich testerów.

Jako wirtualna asystentka będę musiała jeszcze długo czekać, nim uda mi się zebrać dość pieniędzy, by założyć własną kawiarnię.

Jednak gdy to nastąpi, przepisy na zestawy kaw i wypieków będę miała już gotowe.

– Boże, tato. Jest jeszcze wcześniej, a ja już jestem znudzona – słyszę nowy, piskliwy głos. Brzmi niczym z serialu *Plotkara*, więc na pewno nie należy do Wayne’a.

– Destiny, usiądź – odpowiada burkliwie jakiś mężczyzna.

Unoszę głowę znad notesu, czując, jak atmosfera w kawiarni momentalnie się zmienia.

Czuję tak wyraźne napięcie w powietrzu, że można by je kroić nożem. Przed kontuarem, za którym stoi Wayne, wielka grupa garniturowców zbiła się w stado niczym wilki.

Co u licha?

Ach, faktycznie, *wspominał* coś o spotkaniu z szefostwem, a reszta pracowników z porannej zmiany jeszcze nie przyszła, co jest trochę dziwne. Tyle tylko, że gdy mówił o szefostwie, wyobrażałam sobie jakąś mamuszkę w średnim wieku, z tych, co odwożą swoje dzieci na trening piłkarski po pracy.

Tymczasem widzę ludzi niczym żywcem przeniesionych z Wall Street. Zastanawiam się jedynie, kim jest ta nastolatka, która im towarzyszy, i dlaczego w ogóle włączy się za stadem korporacyjnych rekinów.

Szybko skanuję wzrokiem pomieszczenie.

Nastolatka w czarnej sukience przechadza się pomiędzy stolikami. Nie licząc mojego, wszystkie miejsca są puste. Dziewczyna wyjmuje książkę

i siada naprzeciwko mnie – zapewne dlatego, że wszystkie inne krzesła są jeszcze poobracane do góry nogami, jako że technicznie rzecz biorąc, kawiarnia nie jest jeszcze otwarta.

Interesujące.

Stado garniturowców ustawia się w równym rzędzie przed kontuarem. Gapią się na wszystko, jakby dążyli raczej do dominacji nad światem, a nie jedynie zapewnienia sobie miejsca na rynku kawy.

Mój karmiony thrillerami mózg podsuwa mi sugestie jakiegoś mafijnego haraczku albo nalotu CIA.

Wayne z wymuszonym uśmiechem, jakiego nigdy u niego nie widziałam, przesuwa po blacie kubek kawy.

Wysoki mężczyzna z brązowo-blond włosami wydaje się przywódcą stada.

Sięga po napój. Po jednej jego stronie stoi mężczyzna, a po drugiej kobieta. Oboje robią krok w tył, tak jakby oddychanie tym samym powietrzem co szef było niedopuszczalne.

No dalej, czas na otwarcie niczym z *Ojca chrzestnego*. Mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia...

Mięśnie napinają granatowy materiał garnituru, gdy unosi kubek. Na ułamek sekundy chwytą moje spojrzenie.

Oj.

Przez chwilę nie jestem w stanie zaczerpnąć oddechu.

Niemal wtapiam się w krzesło.

Zapomnijcie o podstarzałych, podwiedniętych menedżerach, którzy mogliby zrzucić ze dwadzieścia kilo. Ten facet jest zdecydowanie młodszy i nieskończenie bardziej przystojny od Marlona Brando, chociaż spojrzeniem faktycznie mógłby rywalizować z niejednym mafiosem.

Twarz jak wyrzeźbiona, orli nos, oczy niebieskie jak niebo w bezchmurny dzień.

Ukrywają to, co naprawdę myśli o dziwnej, skulonej w kącie dziewczynie, która zaskoczona, rozpaczliwie stara się teraz nie czerwienić.

To znaczy on *wcale* nie jest w moim typie! Czy ja w ogóle mam typ? Jest niczym ludzki buldożer wepchnięty w kosztowny garnitur.

Niczym twór Frankensteina, powołany do życia przez szalonego naukowca, którego celem było stworzenie idealnego pożeracza damskich serc i innych części ciała.

Przez chwilę żałuję, że *ja* nie mogę stać się tym ciemnoniebieskim garniturem, który otula jego napięte, wyraźnie zarysowane mięśnie. Ale tylko przez chwilę.

Skrzywiony wyraz jego twarzy jest tak jadowity, że dziwne, że farba nie zaczyna odłazić od ścian.

Nadal obrzuca otoczenie pełnym złości spojrzeniem, gdy jego usta znikają za krawędzią kubka i pociąga jeden brutalnie długi łyk, który kończy się pełnym rozczarowania jękiem.

Jego sposób bycia nie staje się wcale przyjemniejszy w chwilę potem, gdy zrywa plastikowe wieczko z kubka, wskazuje na napój i pyta:

– I to nazywasz naszą specjalną nowością?

O Boże.

Serce mi staje.

Brzmi niczym prokurator oskarżający Wayne’a o przejechanie dziecka na pasach. Natychmiast czuję gniew i lęk o mojego przyjaciela.

Pewnie znajdzie dzisiaj w nocy w łóżku odciętą końską głowę.

To niesprawiedliwe.

Nastolatka naprzeciwko mnie opuszcza książkę, spogląda mi w oczy i przygryza dolną wargę, jakby usiłowała się powstrzymać od skrzywienia, a może od parsknięcia śmiechem? Nie jestem pewna.

Jej uśmiech, który próbuje skryć, ukazuje dołeczki w policzkach.

– Nie martw się, jest dzisiaj w dobrym humorze – szepcze.

Jasny gwint.

Jeśli tak zachowuje się, gdy ma dobry humor, to jaki jest, gdy ma zły?

Trzeba przyznać, że naprawdę wychodzi mu odgrywanie seksownego złoczyńcy, jednak nie licząc tego, odbieram go jako zwykłego kutasa, który usiłuje odgrywać Ozymandiasa.

Mocarze! Patrzenie na moje dzieła i przed moją chwałą giniecie z rozpaczyl¹

¹ Percy B. Shelley, *Ozymandias*, w przekładzie A. Asnyka – przyp. tłum.

Moja przyjaciółka i dawna sąsiadka, Dakota, będąca poetką, zaśmiewałaby się do łez. Żałuję, że nie mam kawy dostatecznie mocnej, żeby wskresić z martwych Percy'ego Shelleya, żeby utarł nosa temu przystojniakowi.

Nie da się go nazwać ojcem chrzestnym. Biorąc pod uwagę, co pada z jego ust, już prędzej mógłby być *ojcem zrzędą*.

Ku mojemu zdziwieniu zniża się do skosztowania kawy kolejny raz.

Jego przyboczni stoją w pełnym podziwu – lub przerażenia? – milczeniu. Stojący za nim młodzi ludzie, sprawiający wrażenie stażystów przestępują nerwowo z nogi na nogę.

Uch.

No to tyle, jeśli chodzi o mój spokojny poranek.

Znowu zerkam do notatnika, przygryzam dolną wargę i naprawdę staram się pilnować swojego nosa.

Powinno po prostu skończyć analizę tej kawy, a potem wymknąć się tylnymi drzwiami, pozostawiając Wayne'a jego losowi. To dumny facet i wprawdzie łączy nas kawa, ale nie jesteśmy bliskimi przyjaciółmi. Nie chciałby, żebym próbowała toczyć za niego spory niczym nadopiekuńcza starsza siostra.

Przynajmniej nie ustępuje przed Skrzywioną Gębą. Ma cierpliwość mnicha, naprawdę, skrytą za dziwnie subtelnym uśmiechem, który wygląda, jakby Wayne był przede wszystkim *zmęczony*. Odchrząkuje i czeka na nieuniknioną śmierć od obelgi.

Ojciec zrzęda wzdycha i odstawia kubek z powrotem na blat.

– Ujdzie. Ledwie. Ale nie tego szukamy na przyszłość. W najlepszym wypadku ta kawa jest po prostu zupełnie przeciętna.

Przełykam ślinę i odwracam wzrok, gdy Wayne zerka w moją stronę.

Nie jestem w stanie skoncentrować się na swoich notatkach, skoro ten szef brzmi tak samo skandalicznie, jak wygląda.

Poza tym nie jestem fanką gburowatości, a ten facet zachowuje się, jakby naprawdę chciał mnie wkurzyć.

To sieciówka, czego on właściwie oczekuje? Rzemieślniczej, wolno parzonej kawy z niewielkiej porcji ręcznie mielonych ziaren?

– Akurat tam przeciętna – mamrocze pod nosem, przewracając oczami.

Zapominam, że dziewczyna może mnie usłyszeć i po chwili słyszę jej stłumiony chichot.

– Cóż, tak, panie Lancaster, ma pan rację, ale... – Wayne urywa. – Mogę zrobić ją lepiej. Jestem podekscytowany możliwością wprowadzenia nowej linii produktów, cokolwiek to będzie.

Mówi to tak rozkosznie beznamiętnym tonem, że naprawdę z trudem powstrzymuję śmiech.

Gdy się zastanowić, to właśnie w Wired Cup wypilałam swoją pierwszą kawę po tym, jak wprowadziłam się do Seattle. I to Wayne ją dla mnie przyszykował. W niektórych kawiarniach pracownicy zmieniają się jeszcze częściej niż w burgerowniach, ale Wayne pracuje tu od lat i zawsze podsuwa klientom kawę z jakimś dobrodusznym żartem, tak samo jak jest gotów każdego wysłuchać, niezależnie od tego, czy świeci słońce, czy pada... no cóż, częściej pada, bo to w końcu Seattle.

Jeśli kiedykolwiek istniał solidny, godny zaufania barista, to właśnie on.

Nie zasłużył, żeby tak mu się obrywało.

Co ten dupek sobie w ogóle wyobraża, że kim jest? Sądząc po tym, jak wygląda, całymi dniami siedzi w biurze i gapi się w ekran. Nie wiedziałby, jak zrobić dobrą kawę, nawet gdyby ktoś oblał nią jego przystojną, gburowatą i warczącą głowę.

Znowu bierze do ręki kubek i obwąchuje zawartość, po czym podaje go stojącej obok niego kobiecie.

– Katelyn, niech dział badań i rozwoju zerknie w akta dotyczące tej kawy. Chcę wiedzieć, czym się zajmowali i czy kiedykolwiek próbowali jakoś to ulepszyć.

Och, cudnie.

A więc to *jeden z tych* z obsesją na punkcie korporacyjnych procedur i dokumentów, gotowy wkurzyć się, gdy rzeczywistość nie chce być taka, jak modele na ekranie.

A może to po prostu jakiś palantowaty menedżer regionalny?

Przez lata na różnych posadach poznałam takich mnóstwo. Cholera, z niektórymi się nawet *umawiałam*.

Wydaje im się, że srają diamentami i że to daje im prawo do rządzenia wszystkimi na niższych stanowiskach.

Robi mi się odrobinę niedobrze. Przypomina mi się, dlaczego już nigdy nie przyjmę posady, na której podlegałabym jakiemuś świętoszkowatemu palantowi ze złudzeniami na temat własnej ważności. Są zanadto oderwani od rzeczywistości.

Kimże bowiem jest regionalny menedżer drugorzędnej sieci kawiarni, gdy spojrzeć na to z szerszej perspektywy?

Nie jest w stanie usłyszeć moich myśli.

Po prostu siorbie kolejny łyk kawy i stwierdza:

– Cholera, jeśli od *tego* ma zależeć nasze lato, to Syrena pożre nas żywcem. Bez żartów. Wielka Zielona Syrena to międzynarodowa sieciówka.

Wired Cup wprawdzie jest właścicielem kawałka kawowego tortu na Zachodnim Wybrzeżu, ale głównie dlatego, że południowo-zachodni obszar nad Pacyfikiem nie darzy szczególną czcią międzynarodowych sieciówek.

– Chciałem powiedzieć, że dokładnie stosowałem się do przepisu – mówi Wayne, pokazując w końcu, że ma jaja.

Uśmiecham się do niego przez kawiarnię.

Tak trzymaj, stary. Odbij piłeczkę.

– Czyżby? – Ojciec Zrzęda marszczy brwi.

– Jak mówiłem, mogę to zrobić lepiej – zaczyna Wayne. – Mogę zaraz przyrządzić nową kawę, personalizowaną dla klienta, to...

– Do diabła z personalizacją. – Dupek nie pozwala mu nawet dokończyć. – Jesteś jednym baristą, w jednej kawiarni w Seattle. To sumatrzańskie ziarno jest podstawą naszej kawy, a nie da się poprawić czegoś, co jest nudne, niezależnie od tego, jak doprawisz napój. To ziarno już było wysyłane hurtowo nawet do Boise. Nie sądzę, żeby mogła smakować lepiej gdziekolwiek indziej. Gówno to gównu.

Ej, ta kawa naprawdę nie jest aż tak zła!

Nastolatka z piskliwym głosem wydaje z siebie smutny syk i kręci głową, chowając się za kurtyną ciemnoblonde włosów. Odkłada książkę na stolik i wyciąga ze stylowej różowej torebki telefon.

Uznaję to za sygnał, żeby wziąć swoją torbę i wstać.

Mam dość.

Nie ma mowy, żebym była w stanie się skupić przy tej awanturze, jednak zamiast od razu wyjść, podchodzę do samego Kawowego Lucyfera.

– Hej, mogę cię o coś zapytać? – Czekam, aż błękitnookie spojrzenie śmierci skieruje się na mnie. – Na czym, do diabła, polega twój problem?

Wayne'owi opada szczeka.

Uśmiecham się do niego. *Nie martw się, stary, jestem po twojej stronie.*

Stary zrzęda przechyla głowę i spogląda na mnie, jakby marzył o tym, żeby posadzka się pode mną rozstąpiła.

– To zależy od tego, kto, do diabła, pyta.

Prycham.

– Mogłabym zadać to samo pytanie. Zastanawiam się, jakim bogatym klaunem trzeba być, żeby zaczynać dzień od werbalnego torturowania baristy?

– Wystarczy, że jest się właścicielem tej kawiarni – odcina się.

– Dobra, dobra. – Śmieję się wzgardliwie. Ten facet naprawdę ma wygórowane zdanie na swój temat. To się nazywa wyolbrzymianie swojej pozycji.

Tak jakby właściciel całej franczyzy Wired Cup – korporacji wartej miliardy dolarów – pokazywał się w przypadkowych kawiarniach tylko po to, żeby mieszać z błotem ludzi, którzy zarabiają minimalną krajową plus napiwki.

Akurat.

Jestem pewna, że właściciel tej korporacji pija idealnie zaparzone espresso podawane na srebrnej tacy, podczas gdy siedzi nad swoim basenem w egzotycznej willi gdzieś daleko, daleko stąd.

– Skończyłaś? Naprawdę nie musisz się wcinać w sprawy, które cię nie dotyczą.

– A ty nie musisz traktować tego baristy jak dupek. Ta kawa jest *w porządku*, jak zawsze gdy Wayne jest na posterunku. To najlepszy barista tutaj – stwierdzam rzeczowo.

Przeszywa mnie wzrokiem.

– Nie muszę ci niczego udowadniać, kimkolwiek jesteś – mamrocze.

Unoszę swój papierowy kubek z kawą.

– Patrz, piłam właśnie tę samą kawę, co ty. Naprawdę jest w porządku. Nic jej nie dolega. Powiedziałabym, że jak na wielką sieciówkę, jest naprawdę dobra. Przykro mi, że nie zadowala twojego wysublimowanego smaku, ale czyż nie została zaparzona na podstawie *twojego* przepisu?

Jego spojrzenie twardnieje i staje się tak jadowite, że muszę odchrząknąć, żeby być w stanie nadal oddychać.

– Mówię tylko, że nie musisz sobie szukać kozła ofiarnego. Po co wyzywać się na człowieka, który haruje, żeby sprzedać twój produkt, skoro i tak przez cały dzień użera się z niegrzeczными klientami i wrzącymi napojami.

Moja tyrada najwyraźniej nie robi wrażenia na Ojcu Zrządzie.

Nawet nie mruga.

Fakt, że ten typ mógłby wygrać pojedynek na spojrzenia z sową, zapewne stanowi wskazówkę, że powinnam się zamknąć i sobie pójść.

Z niektórymi ludźmi nie można logicznie rozmawiać.

Szkoda tylko, że jeszcze nie skończyłam.

– Poza tym wątpię, że rozpoznalbyś dobrą kawę, choćbyś dostał ziarnami w twarz – stwierdzam, krzyżując ramiona na piersi i wspinając się lekko na palce, żeby znaleźć się bardziej na poziomie jego oczu.

– Dokładnie wypunktowałaś wszystko to, co jest nie tak – mówi powoli.

– Ja... co? Nie wiem, do czego...

Sposób, w jaki jego twarz się rozjaśnia, sprawia, że milknę w pół zdania.

Gdy zrząda się uśmiecha, wygląda jak bóg.

– Kawa jest w porządku. Nic jej nie dolega. Jak na dużą sieciówkę. – Powtarza moje słowa z lodowatym spokojem, który sprawia, że dreszcz przelatuje mi wzdłuż krzyża, po czym kontynuuje: – Bardzo trafne uwagi jak na kogoś, kto nie ma żadnych zahamowań. Wyniki sprzedaży wśród młodszych klientów są słabe. Za parę lat „kawa jest w porządku” nie wystarczy. Nikt poniżej trzydziestki w Seattle czy Portland nie chce dać się przyłapać z napojem z sieciówki. Instagramują małe, przytulne kawiarnie.

– Instagramują? – powtarzam.

Nastolatka stojąca za nim się śmieje.

– Chodziło mu o publikowanie na Instagramie, ale to głupie, co nie? Nikt po dwudziestce nie korzysta już z Insta.

– Dess, wystarczy – warczy na nią.

– Wow, przepraszam łaskawego pana. Wygląda na to, że zupełnie źle cię oceniłam – mówię cicho, czując, jak krew zaczyna się we mnie gotować.

Spogląda na mnie pytająco.

– Myślałam, że po prostu jesteś gościem w garniturze, który ma kiepski poranek, ale wygląda na to, że wystarczyło ci gnębienie Wayne’a, teraz jeszcze musiałeś nawrzeszczyć na tę dziewczynę, bo ma rację? A tak przy okazji, mam poniżej trzydziestki, a jednak pedałowalam na rowerze przez całe miasto po swoją kawę z sieciówki. Ale nie ma za co.

Zerka na dziewczynę z irytacją.

– Wszyscy są na Instagramie. Dane nie kłamią. Jeśli nasze wyniki sprzedaży mają się kiedykolwiek poprawić, to musi do tego doprowadzić nowy produkt.

Znowu moja kolej.

– Skoro mowa o tym, co można by poprawić, to czemu nie zacząć od twojego nastawienia?

Otwiera usta i gapi się na mnie, zamurowany.

Trafiony.

– Zazwyczaj moje nastawienie chroni mnie przed nieproszonymi radami od nieznajomych, którzy odczuwają nieprzepartą potrzebę, żeby wtrącać się w prywatne sprawy – prycha. – Tym razem jednak dam ci szansę, żebyś mnie oświeciła: gdzie teraz młodzi ludzie przebywają online?

– Na TikToku – mówimy jednocześnie ja i Dess.

Zrzęda gapi się na mnie.

W jednej sekundzie zmienia się z zezłoszczonego półboga w wojownika. Odwraca głowę i zerka na Wayne’a, po czym znowu spogląda na mnie.

– Na tykającej aplikacji? Dlaczego mnie nie dziwi, że masz gust jak piętnastolatka, jeśli chodzi o media społecznościowe? – Potrząsa głową.

Przewracam oczami.

– Ktoś musi. Tak samo jak ktoś powinien ci zwrócić uwagę na twoje nastawienie. Wygląda na to, że wszyscy inni pozwalają ci warczeć na problemy i tupać nóżką, ale odkąd zacząłeś marudzić, nie słyszałam jeszcze ani jednej propozycji rozwiązania.

Oho.

Znowu gapi się na Wayne’a, a jego nozdra się rozszerzają.

– Mam nadzieję, że ona tu nie pracuje, a jeśli nie, to co w ogóle tu robi? Kawiarnia miała być zamknięta podczas naszego spotkania.

Wayne robi się czerwony jak burak i zwiesza głowę.

– Ja... eee... być może zapomniałem za sobą zamknąć, gdy tu wszedłem rano. Miałem taki zamiar, ale jak już otworzyłem drzwi, zadziałała siła nawyku. – Hałaśliwie drapie się po karku. – Jeśli to coś zmienia, to Eliza jest moją przyjaciółką i jedną z naszych najlepszych klientek. Nie sądziłem, że w czymś przeszkodzi, jeśli wypije tu swoją kawę. Proszę, nie zwalnij mnie. – Wayne rozgląda się nerwowo po pomieszczeniu, szarpiąc się za skołtunioną brodę.

Marudzilla spogląda na mnie, jakby patrzył na jakieś zwierzę, które właśnie przejechał swoją limuzyną.

– Hmm. Twoja „przyjaciółka” może mieć rację, jeśli chodzi o zmianę nastawienia, które jest potrzebne w naszych kawiarniach.

Zaraz, zaraz, co?

Nie mówiłam, że *kawiarnie* potrzebują zmiany nastawienia.

Powiedziałam, że *on* jej potrzebuje, ale może teraz nie jest najlepszy moment, żeby mu to wypominać.

Ponieważ Wayne... wygląda jak jajko ugotowane na twardo i pomalowane na czerwono, a moim celem nie jest zepsucie mu całego tygodnia. Chciałam mu *pomóc*, a nie załatwić mu wywalenie z pracy.

– Na początek potrzebujemy trochę więcej szacunku dla zasad – docierają do mnie słowa zrzędy, gdy znowu zaczynam słuchać tego, co mówi.

Nastolatka za nami coś mamrocze, ale nie jestem w stanie zrozumieć co.

Prawie zaczynam żałować tego, że się wtrąciłam, ale teraz już za późno, żeby się wycofać, niestety.

Ale jeszcze mogę wszystko uratować.

– Przepraszam, ale Wayne to prawdziwy skarb. To on jest przyczyną, że ta kawiarnia wciąż działa i odwiedza ją połowa okolicy. To kawowy superbohater. Nie mów mi, że zamierzasz się wyładować na swoim najlepszym bariście? Jeśli chcesz, żeby interesy szły lepiej, to wybrałeś najgorszy sposób, żeby to osiągnąć.

Dupek w garniturze zaciska usta.

– Spotykałem dzikie szopy mniej wkurzające niż ty.

Udaję, że zacham się z oburzeniem, i zasłaniam usta dłonią.

– Och! Czy one też cię ugryzły? Bo ja naprawdę zaczynam mieć ochotę, żeby zrobić ci krzywdę.

Krzywi się ze zdumieniem, po czym ściska palcami nasadę nosa i wzdycha sfrustrowany.

– Jesteś strasznie irytująca.

– Spoko, ty jesteś strasznie arogancki.

Powoli kręci głową.

– Powinienem ci dożywotnio zakazać wstępu do wszystkich naszych kawiarni.

Czuję, jak serce na chwilę mi staje. Nie wiem, czy się śmiać, czy marwić, czy strzelić tego neandertalczyka w twarz.

– Proszę bardzo. Jak tylko to zrobisz, wejdę na TikToka i zrecenzuję twoją „zupełnie w porządku” sieć. Nie zapomnę wspomnieć o tym, dlaczego zakazałeś mi wstępu. Chcesz mieć dużo odsłon w mediach społecznościowych? To poczekaj na *tę* dramę.

Unosi wargę, ukazując białe zęby, podczas gdy ja podchodzę bliżej i przysuwam usta do jego ucha.

Czuję, jak całe moje ciało się elektryzuje.

Chcę sobie wmawiać, że chodzi tylko o rozpalającą do białości wściekłość, ale gdy muskam jego ramię, czuję, że jego biceps jest naprawdę przypakowany.

– Skończyłaś już, do cholery? – szepcze w odpowiedzi.

– Nie. W czasie, gdy czekamy na aferę na TikToku, zadzwonię do tej twojej korporacji i pogadam. Ktoś musi poinformować władze o pewnym dupku z kutasem wielkości ołóweczka, który łązi po kawiarniach, podając się za właściciela, i nęka zarówno klientów, jak i pracowników. Jak ci się to podoba?

Z uwagi na obecność nastolatki staram się mówić cicho.

Najwyraźniej mi się nie udaje.

Słyszę kilka stłumionych okrzyków dookoła nas.

Unosi jedną brew. Albo jest obrzydliwie rozbawiony, albo zamierza powalić mnie na podłogę.

Ma też najbardziej niebieskie oczy, jakie Bóg kiedykolwiek stworzył. *Irytujące.*

Szkoda, że właściciel tych oczu przemawia właśnie tonem tak pogardliwym, że prawie skręcają mi się od niego włosy.

– Gdy to zrobisz, połączysz się z moją uroczą asystentką, Katelyn Storm, która odbiera połączenia przychodzące. Powie ci, że ten potwór z penisem wielkości ołoweczka podpisuje dokumenty narzędziem grubszym niż konar dębu. Bo to ja jestem właścicielem Wired Cup.

Rrrrany. Przysięgam, tylko gniew sprawia, że czerwienię się bardziej niż nieszczesny Wayne.

– Możesz przestać ściemniać. Nie ma mowy, żebym uwierzyła, że sam prezes tak wielkiej firmy po prostu odwiedza pierwszą lepszą kawiarnię osobiście. Kiepski z ciebie kłamca.

Gapi się na mnie tak, że chyba w każdej chwili powinnam się spodziewać, że z oczu strzelą mu promienie laserowe.

– Naprawdę mi nie wierzysz, paniusiu? – Jego głos jest niczym pomruk grzmotu.

– Paniusiu? Tak się zwracasz do swoich klientów? Sądziłam, że północny zachód jest bardziej postępowy.

– Co?

– Nawet mnie nie znasz – wypalam.

– Tak, i pragnąłbym, żebyśmy nigdy się nie spotkali – szepcze, patrząc na mnie nieżyczliwie. – Ale masz rację w tym, dlaczego nasza sieć podupada. Nie znamy naszych klientów. Skąd jesteś?

– Pierwotnie z San Diego. Przeprowadziłam się tutaj kilka lat temu.

– To wiele tłumaczy. Ludzie z Seattle nie są tak bezpośredni.

Wbijam w niego wzrok, starając się rozszyfrować słowa, które brzmią jak zawołowana obelga.

Za kontuarem pojawia się kilku innych baristów, którzy wreszcie przybyli na poranną zmianę. Stoją wokół Wayne’a zakłopotani, łypiąc na garniturowców i zastanawiając się, w co się wpakowali.

Nieważne, nie mam czasu się nimi przejmować.

Muszę sobie poradzić z tym palantem i spadać. Każde z nas bez wątpienia ma lepsze rzeczy do roboty, niż klócić się w kawiarni.

– A więc uważasz, że w porządku jest nękanie klientów kawiarni? Nie takie Seattle znam. – Wysuwam dolną wargę, robiąc moją najlepszą minę w stylu „bez kija nie podchodź”.

– Gdy klient postanawia wtrącić się w firmowe sprawy, o których nie ma najmniejszego pojęcia...

– Och, dobrze, dobrze, bo wcale nie plakatujesz swoich kawiarni, zachęcając klientów do dawania informacji zwrotnych. – Odwracam się i wskazuję plakat na przeciwległej ścianie, gdzie widnieje uśmiechnięta buźka z błyskawicami w miejscu oczu i napisem: „Podziel się swoją iskrą! Zrecenzuj nas dzisiaj”.

Wpatruje się we mnie, jakby się zastanawiał, ile będzie musiał odpalić płatnemu zabójcy, żeby wrzucił mnie do cieśniny Puget Sound.

Skoro już tak daleko zabrnęłam, nie będę się teraz zatrzymywać.

– Co? Nie masz żadnej niemiłej riposty? – warchę. – Masz doktorat z kawowej chemii z Uniwersytetu Zawyżonego Ego na dokładkę do swojego statusu menedżera?

– Elizo... – Wayne głośno odchrząkuje.

– Nie jestem żadnym cholernym menedżerem – przerywa mu. – Gdybyś słuchała uważnie, wiedziałabyś, że jestem właścicielem tej sieci. Praktycznie dorastałem na plantacji kawy. Więc tak, wiem o kawie więcej niż jakaś histeryczka z południowej Kalifornii, która dorastała, wylegując się na Carbon Beach i szkoląc się w pyskowaniu nieznanym.

Jasny gwint.

Otwieram na chwilę usta, po czym zamykam je i zaciskam szczęki tak mocno, że aż zaczynają mnie boleć zęby.

Nie zrobił tego.

A jednak.

Popełnił poważny błąd, który będzie go słono kosztował.

– Elizo... – mówi Wayne ostrzegawczo, próbując machaniem zwrócić moją uwagę.

Unoszę dłoń, żeby go uciszyć. W porządku. Mam wszystko pod kontrolą.

Wayne nie musi za mnie walczyć z tym grzechotnikiem, który nie powinien nawet móc tu sprzątać.

– Dobrze, *właścicielu sieci*, jeśli nim naprawdę jesteś – mówię powoli.

– Rozumiem, nie musisz się powtarzać. Byłeś tak zajęty przyswajaniem wiedzy o kawie, że nie miałeś już czasu na geografie, prawda? Bo wiesz, San Diego od Carbon Beach dzieli ponad dwieście kilometrów, geniuszu.

W pomieszczeniu rozlega się zbiorczy jęk grozy, który zaczyna się od osób stojących najbliżej dupka i rozszerza się na baristów za kontuarem.

Jedna z młodych dziewczyn pracujących z Wayne'em ucieka tylnym wyjściem, zakrywając usta, żeby powstrzymać histeryczny chichot.

Następnie w kawiarni zapada śmiertelna cisza.

Milczą wszyscy oprócz nastolatki w rogu, która wydaje z siebie stłumiony chichot, zasłaniając sobie usta dłonią.

– Eliza! – Oczywiście wychodzą Wayne'owi z orbit. Widzę, jak jego okryta fartuchem pierś unosi się i opada w szybkich, płytkich oddechach.

Ups. Przekroczyłam granicę i teraz robię już więcej szkody niż pożytku.

Zrzęda odchrząkuje, jakby przed chwilą przełknął tłuczone szkło, i ponownie zwraca moją uwagę na siebie.

– Dobrze, dobrze. – Unoszę dłonie w obronnym geście. – To wyszło trochę zbyt agresywnie. Skoro już udzieliłam swoich informacji zwrotnych, to jeśli nie masz nic przeciwko, po prostu się stąd...

– Pożalujesz, że w ogóle zaczęłaś ze mną tę rozmowę, gdy wreszcie poznasz prawdę – burczy, marszcząc brwi niczym chmura gradowa.

Hej, próbowałam.

Wypuszczam z sykiem powietrze.

– Chcesz prawdy? – pytam cicho. – Domyślam się, że pewnie nie, ale najwyraźniej wszyscy, którzy tu pracują, są zbyt przestraszeni, żeby cokolwiek powiedzieć, a ja nie mam nic do stracenia... nie licząc dożywotniego wstępu do Wired Cup. A więc: szanowny panie, mógłby pan siedzieć w basenie z idealnie zaparzoną, mocno paloną kawą i nie wiedzieć, że tonie w dobrej kawie. To – znowu unoszę kubek – spełnia swoje zadanie, a znam się na kawie...

– Czemu ma służyć ta kawa? – wtrąca.

– Sprawia, że Wired Cup jest tym, czym powinno być.

Niespokojnie podrzuca głową, tak jakby chciał powiedzieć: „No dalej, wyrzuć to z siebie”.

– To znajomy, przyjemny, łatwy smak – mówię. – To naprawdę przyzwoita kawa z przyzwoitych ziaren, która jest łatwo dostępna dla zajętych i przyzwoitych ludzi z klasy średniej.

Wypuszcza gwałtownie powietrze.

– Wybacz, jeśli nie jestem zachwycony, gdy studentka college'u nazywa dziedzictwo mojej rodziny „przyzwoitym” tyle razy, że słowo to traci swoje znaczenie.

Nie zwracam sobie głowy mówieniem mu, żeby już przestał się zgrywać. Już na to za późno.

– Nie jestem studentką college’u.

– Cóż, a ja najwidoczniej nie jestem właścicielem tej firmy.

– Elizo... – odzywa się znowu Wayne tonem człowieka, który błaga o życie po tym, jak już wziął udział w wypadku samochodowym.

Auć. Spoglądam na niego i dopiero wtedy przypominam sobie, dlaczego w ogóle się w to wpakowałam.

Patrzy na mnie żałośnie i mówi:

– Przepraszam, powinienem odezwać się wcześniej. Pozwól, że ci przedstawię pana Cole’a Lancastera, właściciela Wired Cup Incorporated. I naszego prezesa.

Spojrzenia wszystkich obecnych w pomieszczeniu kierują się na mnie.

Zastanawiam się, czy słyszą, jak pode mną w podłodze otwiera się otchłań.

– Prezesa? *On* jest prezesem? – syczę, wydymając usta.

Wayne kiwa głową.

– No wiesz, szefem – mówi Lancaster, jakbym nie wiedziała, co znaczy prezes.

Podążam spojrzeniem w kierunku, skąd dochodzi jego głos, i znowu spoglądam na jego nieznośnie arogancką gębę.

Lancaster wyciąga do mnie wizytówkę z logo Wired Cup – elegancko wyglądającą filiżanką podpiętą do gniazdka elektrycznego.

Nie biorę jej, jedynie czytam.

Pod filiżanką wyraźnie czarno na białym widnieją słowa: „COLE LANCASTER – PREZES”.

Zanim powie coś więcej, ze zgrozą uświadamiam sobie, dlaczego zdawało mi się, że gdzieś już słyszałam to nazwisko. Gdy ma się obsesję na punkcie kawy, czyta się wszystko na Wikipedii na temat ważniejszych marek i zapamiętuje się pewne nazwiska... Lancasterowie to właściwie kofeinowi magnaci.

Jestem pewna, że słyszy, jak głośno przetykam ślinę.

– Jeśli faktycznie znasz się na kawie, jak twierdzisz, to jestem pewny, że o nas słyszałaś. Mój ojciec był prezesem przede mną. Moja rodzina założyła tę firmę na długo przed tym, jak powstała nazwa Wired Cup.

Kobieta, która stoi za nim, zakrywa twarz dłonią. Nie wiem, czy chce w ten sposób ukryć śmiech czy zniknąć.

Tak czy siak, to nie działa. Wszyscy dookoła niej wybuchają śmiechem, patrząc na nią.

Cóż... cholera jasna.

Nieźle to się przylałam, myślę sobie, już obawiając się, co się stanie, jeśli potwór w garniturze postanowi zemścić się na Wayne.

Biedny Wayne na dodatek ma chorą matkę. Opowiadał mi o niej dziesiątki razy. Wayne *potrzebuje* tej pracy, żeby się nią zajmować.

Chyba teraz siebie nienawidzę.

Przyływ adrenaliny wywołany sprzeczką z tym dupkiem zdecydowanie działa lepiej, niż potrafiłaby jakakolwiek kawa, ale świadomość, że mogłam komuś naprawdę zaszkodzić, sprawia, że zaczynam odczuwać nerwowe drżenie.

Naprawdę, naprawdę mam nadzieję, że Wayne nie zostanie zwolniony z powodu mojego głupiego wybuchu.

Gapię się na jego sędziego, ławę przysięgłych i kata w jednym. Zaciśnięte szczęki Lancastera i zmarszczone czoło sprawiają, że jego rysy wydają się jeszcze silniejsze i bardziej wyraziste.

Czy to oznacza, że zapragnię zemsty?

Jego ciało – niczym ściana *pełnych gniewu* mięśni – napina się tak, jak wyobrażam sobie, że to się dzieje u mężczyzn wchodzących na pole bitwy.

Bosz, ależ jestem głupia!

Teraz, gdy uświadamiam sobie, jakie konsekwencje może mieć moje zachowanie, ledwie jestem w stanie na niego spojrzeć.

Nie wiem, jakim cudem udaje mi się zebrać na odwagę, żeby jeszcze coś powiedzieć. Czuję, jak moja twarz rozpala się czerwienią jak pomidor.

– Powinnam... eee... wyjść stąd – odzywam się słabym głosem. – Proszę nikogo nie zwalniać, panie Lancaster. To wszystko moja wina. Naprawdę pańscy pracownicy zasługują na podwyżkę za to, że ta kawiarnia jest taka, jaka jest.

No i za to, że muszą cię znosić. Tego już jednak nie mówię na głos.

Jego przybocznicy albo śmieją się, albo gapią się na mnie z nieukrywanym przerażeniem.

Lancaster odwraca się i spogląda na nich lodowato.

– Wystarczy. Powiedziała, że wychodzi. Impreza skończona.

Wszyscy szybko poważnieją.

Kazał im przestać się śmiać, ale dlaczego?

To niemal przyzwoite zachowanie. Przejęcie kontroli nad sytuacją, która coraz bardziej przypominała katastrofę. Ten facio zupełnie nie wydaje się przyzwoity, no i dlaczego akurat w stosunku do mnie miałby się tak zachowywać? Właśnie napadłam na niego i jego firmę i oskarżyłam go o kłamstwo.

Skonfundowana ruszam do wyjścia.

– Mam nadzieję, że nie przeczytamy dzisiaj żadnych histerycznych wypowiedzi na temat Wired Cup w sieci? – rzuca za mną Lancaster.

Boże.

Dlaczego jeszcze nie wyszłam?

To jedyny sposób, żeby zakończyć tę rozmowę i może chociaż zminimalizować straty. I tak już zrobiłam z siebie idiotkę w dostatecznym stopniu.

Co niby mogłabym napisać online?

Już mam pokręcić głową, gdy uświadamiam sobie, że to moja szansa. Zatrzymuję się i powoli odwracam w jego stronę. Unoszę głowę i prostuję ramiona.

– Zobaczmy... o ile nikt nie zostanie zwolniony, żadnych wypocin w sieci.

– Usiłujesz teraz negocjować? – Jego śmiech ocieka obrzydzeniem. – Nie masz tu żadnej władzy, tajemnicza nieznajoma.

– Cóż, taką umowę proponuję. Zachowaj się w porządku, a ja też tak zrobię – oznajmiam i przygryzam policzek, żeby nie powiedzieć za dużo.

Kiwa głową.

– Cień szansy, żebym mógł cię przekonać do trzymania się z dala od moich kawiarni, skoro już negocjujemy warunki?

Wzruszam ramionami. Moja olbrzymia torba obja mi się o udo.

– Piję co najmniej sześć kubków kawy dziennie. Gdy nie jestem w domu, gdzie sama mogę ją sobie zrobić, wpadam do najbliższej kawiarni. Nie wiem, czy mogę obiecać, że nigdy już nie przyjdę do Wired Cup. Chyba że zakazesz mi wstępu.

– Porzuć tę myśl, Panno Pyskata. Nie mam nic przeciwko temu, żeby brać od ciebie pieniądze.

Najwyraźniej on też potrafi nadawać głupie przezwiska.

Nie jestem w stanie określić, dlaczego tak bardzo mnie to irytuje, więc kiwam szybko głową i ruszam w kierunku drzwi.

– Miłego dnia! – woła za mną, gdy wychodzę. Przysięgam, wydaje się, że w jego głosie pobrzmiewa triumf.

Przynajmniej na zewnątrz chłodny wiatr koi moją rozpaloną skórę.

Boże, Elizo.

Jak bardzo można być głupim?

Tak bardzo, że prawie doprowadziłam do wyrzucenia Wayne’a z pracy.

Ale udało mi się chyba na tyle nad sobą zapanować, żeby to nie nastąpiło.

Tak sądzę.

Mam nadzieję, bo inaczej naprawdę opublikuję wiralowy filmik na TikToku.

Gdyby nie chodziło o to, czy Wayne będzie miał z czego żyć, naprawdę miałabym ochotę ruszyć na internetową wojnę.

Kofeinowa arystokracja czy nie, książę Lancaster powinien nauczyć się manier.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

OPOWIEŚĆ INTENSYWNA

JAK KUBEK CZARNEJ KAWY

Cole Lancaster jest miliarderem i władcą kawowego imperium. Jest też przystojniakiem. I do tego aroganckim dupkiem. Przyzwyczaił się, że reszta świata traktowała go z lęklivym szacunkiem. Pewnego dnia, gdy wraz ze świtą podwładnych odwiedził jedną ze swoich kawiarni, niespodziewanie został upokorzony przez klientkę. Zapiętko do żywego. Śliczna brunetka o piekielnym temperamencie opuściła lokal, a Cole miał nadzieję, że nigdy więcej jej nie zobaczy.

Szybko jednak zmienił zdanie, kiedy do jego rąk trafiło coś, co dziewczyna pozostawiła na kawiarnianym stoliku. Wydał swoim pracownikom polecenie odnalezienia brunetki i zaproszenia jej na spotkanie. Okazało się, że nazywała się Eliza Angelo i jest pasjonatką kawy. Podporządkowała swoje życie tworzeniu prawdziwych aromatycznych dzieł sztuki. I była w tym wybitna. Musiał pozyskać ją do swojego laboratorium. Choćby na kilka miesięcy. Za każde pieniądze. Rzucił więc dziewczynie wyzwanie.

Eliza je przyjęła. A to był zaledwie początek. Odnalazła w Cole'u moc, intensywność i niewyobrażalną złożoność, zupełnie jak w najlepszej kawie świata. Praca marzeń okazała się równocześnie szalonym ryzykiem i... pokusą, której nie sposób się oprzeć.

NICOLE SNOW jest autorką bestsellerów z listy „Wall Street Journal” i „USA Today”. Jej miłość do pisania rozwijała się, gdy wymyślała sceny miłosne podczas przerw na lunch. Zadebiutowała w 2014 roku i od tego czasu dąży do perfekcji w tworzeniu postaci burkliwych samców alfa o złotym sercu, niewiarygodnego suspensu i mnóstwa poruszających do żywego scen.

● CUTE
●● SENSUAL
●●● SPICY
●●●● DARK



EDITIO.PL

ebook dostępny na:
ebookpoint

